Nr. 40. Sobota, 30 go września 1911. Rok IX

Gość Świąteczny.

Bezpłatny dodatek.

Na niedzielę siedemnastą po Zielonych Świątkach.

LEKCYA

z listu św. Pawła do Efezów rozdz. IV, w. 1—6.

Bracia! proszę was tedy ja więzień w Panu, abyście chodzili godnie powołaniu, w którem powołani jesteście; z wszelaką pokorą i cichością, z cierpliwością znosząc jeden drugiego w miłości. Starając się, abyście zachowali jedność ducha w związku pokoju. Jedno ciało i jeden duch, jako jesteście wezwani w jednej nadziei wezwania waszego. Jeden Pan, jedna wiara, jeden chrzest. Jeden Bóg i Ojciec wszystkich, który jest nade wszystkie i po wszystkiem i wszystkich nas.

EWANGELIA

u św. Mateusza rozdz. XXII, wiersz 34—46.

W on czas przyszli do Jezusa Faryzeuszowie, i spytał Go jeden z nich zakonny Doktór, kusząc Go: Nauczycielu, które jest wielkie przykazanie w Zakonie? Rzekł mu Jezus: Będziesz miłował Pana Boga twego, ze wszystkiego serca twego, i ze wszystkiej duszy twojej, i ze wszystkiej myśli twojej. A wtóre podobne jest temu: Będziesz miłował bliźniego twego, jako siebie samego. Na tem dwojgu-przykazaniu wszystek Zakon zawisł i Prorocy. A gdy się Faryzeuszowie zebrali, spytał ich Jezus, mówiąc: Co się wam zda o Chrystusie? czyj jest Syn? Rzekli mu: Dawidów. Rzekł im: Jakoż tedy Dawid w duchu zowie go Panem, mówiąc: Rzekł Pan Panu memu, siądź po prawicy mojej, aż położę nieprzyjacioły swoje podnóżkiem nóg twoich? Jeśli tedy Dawid zowie go Panem, jakoż jest Synem jego? Żaden nie mógł Mu odpowiedzieć słowa, ani śmiał żaden od onego dnia o co więcej Go pytać.

NAUKA.

Najmilsi! Smutne to i bolesne, co czytamy w Ewangelii dzisiejszej. Przez tyle wieków naprzód ogłaszali Pana Jezusa prorocy, Sam żyjąc na ziemi tyloma się już wsławił cudami, tyle już złożył Bóstwa Swojego dowodów, a jednak, kiedy przed samą prawie męką spytał faryzeuszów: „Co się wam zda o Chrystusie? czyj jest syn?”, oni nie wiedzą, bo w odpowiedzi „rzekli Mu: Dawidów” (Mat. XXII, 42). Nie Bogiem zatem, nie obiecanym Zbawicielem świata Go wyznają, ale zwykłym człowiekiem, potomkiem Dawida. Lecz jeśli to bolesne i smutne, to o ileż smutniejsze i boleśniejsze, że i dzisiaj po tylu wiekach nie brak jeszcze takich i to nawet pomiędzy samymi chrześcianami katolikami, którzy tego Chrystusa nie znają i kim On jest, nie wiedzą. Znać Go jednak powinni, bo o Nim od młodości słyszą, Jemu tyle łask zawdzięczają, Jego nawet imię na sobie noszą, bo się chrześcianami mienią. Nieszczęśliwi to ludzie! Kiedyś na sądzie powie do nich Pan Jezus: „Zaprawdę mówię wam, nie znam was” (Mat. XXV, 12). I nic im nie pomoże, choćby wszystkie inne nauki posiedli, choćby ich mądrość cały świat podziwiał, bo jak nas sam Pan Jezus naucza: „Ten jest żywot wieczny, aby poznali Ciebie samego Boga prawdziwego, i któregoś posłał Jezusa Chrystusa” (Jan XVIII, 3), t. j. ci tylko kiedyś osięgną żywot wieczny, którzy Pana Jezusa znali i w Niego wierzyli. By więc i do was tak się odezwać nie musiał w on dzień sądu Swojego, starajcie się o Jego poznanie zawczasu. Ku temu zaś celowi niech wam posłużą i obecne nauki, w których dziś postępując dalej, zastanowimy się nad młodzieńczemi latami, czyli tak zwanem życiem ukrytem Chrystusa.

Ewangeliści św., którzy inne szczegóły z życia Pana Jezusa obszernie i z całą dokładnością nam opisali, wiek Jego młodociany w kilku zaledwie streszczają słowach. I one jednak, aczkolwiek szczupłe, zupełnie wystarczają do zrozumienia i przedstawienia sobie, na czem schodziły i jak upływały te długie lata Jego pobytu w Nazaretańskim domku. Przenajświętsza bowiem Rodzina uwiadomiona przez anioła we śnie, że Heród już nie żyje, powróciła z Egiptu i nie wstępując do Betleem z obawy przed Archelausem, synem Heroda i następcą jego, zamieszkała w krainie Galilejskiej w mieście Nazarecie. Tu „Dziecię Jezus rosło i umacniało się pełne mądrości, a łaska Boża była w Niem” (Łuk. II. 40). Błogie to i szczęśliwe były dni dla Najświętszej Panny Maryi i Jej oblubieńca św. Józefa, a przyczyną ich szczęścia Pan Jezus. Gdzie On, tam niebo, a kędy Jego niema, tam piekło. Jakaż to radość dla nich patrzeć na Tego ukochanego Syna, który, jak opowiada Ewangelia św., z każdym dniem „pomnażał się w mądrości i w latach i w łasce u Boga i u ludzi” (Łuk. II. 52), coraz więc milszym i droższym się Im wydawał. Podobnie, jak to słońce, które w rzeczywistości zawsze jest to samo, jednak od rana do południa coraz to więcej z każdą chwilą okazuje światła i ciepła, tak i w Panu Jezusie z przybytkiem lat coraz to więcej objawiała się mądrość i świętość Boża.

Na ten to czas pobytu Jego w mieście Nazarecie przypada owo jedyne znane z lat młodocianych Zbawiciela zdarzenie, które nam w Ewangelii św. przechował św. Łukasz. Było prawo u żydów, że każdy mężczyzna musiał z miejsca swojego pobytu trzykroć do roku iść do kościoła w Jerozolimie dla złożenia ofiary Bogu. Stosując się do tego zakonnego przepisu wiernie, nietylko św. Józef, ale i Najśw. Marya Panna, choć nie obowiązana ściśle, corocznie w naznaczonym czasie odbywali tę daleką pielgrzymkę. Brali też ze Sobą i skarb Swój najdroższy, Pana Je-

zusa. Otóż zdarzyło się, że kiedy w dwunastym roku życia poszedł z Nimi na święta wielkanocne, po skończonych uroczystościach niespostrzeżenie pozostał w kościele. Nie zauważyli tego ani Najśw. Panna Marya, ani też św. Józef, co łatwo choćby tem da się wytłómaczyć, że ponieważ według zwyczaju mężczyźni i niewiasty osobno odbywali podróż, mógł św. Józef mniemać, że Pan Jezus jest z Matką, zaś Najśw. P. Marya, że poszedł ze św. Józefem. Dopiero kiedy uszedłszy dzień drogi zeszli się razem pod wieczór, spostrzegli, co się stało. Nietylko przy nich, ale nawet pomiędzy krewnymi Dziecięcia Jezus nie było. Możemy sobie wyobrazić łatwo, jak się przelękli, jak się zakłopotali, jak głęboką boleść w sercu Swojem uczuli. Czemprędzej tedy, nie tracąc ani chwilki, wracali do Jerozolimy, wszędzie po drodze pytając się o Niego i po trzechdniowem mozolnem szukaniu, po wylaniu wielu łez, nareszcie znaleźli Go w świątyni. Tam siedział On w pośrodku żydów uczonych, przysłuchiwał się ich naukom i odpowiadał na zadawane pytania. Oczy wszystkich zwrócone były ku Niemu, wszyscy z uwagą słuchali słów Jego, gdyż odpowiedzi P. Jezusa dwunastoletniego w podziw wszystkich wprawiały. Po to zresztą pozostał On w świątyni, aby według woli Ojca Swojego Niebieskiego już wtenczas zajaśnieć Bożą mądrością, a temsamem i Bóstwo Swoje dać poznać. Tak też usprawiedliwia przed Matką Najśw. Swe postąpienie. Kiedy Go bowiem pytała: „Synu, cóżeś nam tak uczynił?” On odpowiedział: „Nie wiedzieliście, iż w tych rzeczach, które są Ojca mego, potrzeba żebym był” (Łuk. II. 48, 49.)

Ma jeszcze oprócz tego i z tej przyczyny ten szczegół z życia Pana Jezusa dla nas wielkie znaczenie, bo na przykładzie Jego uczymy się, jak powinniśmy wiernie spełniać obowiązki i powinności względem Pana Boga. Jakże słusznie gorliwość Jego o chwałę Ojca Niebieskiego musi niejednego zawstydzić! Toć i my mamy przykazanie, nakazujące w każdą niedzielę i uroczyste święto iść do kościoła i wysłuchać Mszy św., a jakże je spełniamy? Ani wiek młody, ani daleka droga, ani trud nieodłączny od tak długiej podróży nie zdołały Pana Jezusa zatrzymać w domu, Tecz spieszył chętnie, a my tysiączne znajdujemy wymówki, aby się tylko od spełnienia tego ważnego obowiązku usunąć. Kochał Pan Jezus przedwiecznego Ojca Swojego i dlatego rad z Nim przebywał, rad o Nim słuchał, z upodobaniem o Nim z kapłanami i uczonymi w Piśmie rozmawiał. Lecz czy i nam podobnie miła na modlitwie z Panem Bogiem rozmowa? Czy z przyjemnością i ochotą słuchamy kazań i nauk o Panu Bogu i o rzeczach niebieskich? Niechże ten piękny przykład Zbawiciela naszego nietylko nas zawstydza, ale i do naśladowania pociąga. I tu bowiem zdaje się On do wszystkich nas przemawiać: „Uczcie się odemnie” (Mat. XI. 29). A jest się czego uczyć, bo już w Swych młodych latach daje nam wzór niedościgły nietylko jak Panu Bogu służyć, ale i jak względem bliźnich zachować się mamy.

Opowiada Ewangelia św., że Pan Jezus, powróciwszy z Jerozolimy do Nazaretu w towarzystwie Swoich rodziców, „był im poddany” (Łuk. II. 51.) Zostawał On w Nazaretańskim domku aż do trzydziestego roku życia Swojego, a choć był Bogiem i mógł rozkazować całemu stworzeniu, On wolał słuchać Najśw. Maryi Panny i św. Józefa, Opiekuna Swojego dla naszego przykładu. Na każde skinienie, na każde słowo z wielką ochotą i gotowością spełniał wszystkie i najtrudniejsze rozkazy. A wielka to cnota i rzadka dziś na świecie, bo dziś nikt słuchać nie chce. Nie chcą słuchać dzieci rodziców, sługi swoich panów, podwładni przełożonych. A cnota to konieczna, bo taki Bóg porządek zaprowadził na świecie, żeby jedni rozkazywali, drudzy zaś słuchali. To też dla przykładu naszego staje się posłusznym Pan Jezus. I nie było nigdy na ziemi podobnego syna, któryby z taką uległością słuchał swoich rodziców. Był Pan Jezus posłuszny jako małe dziecię, był posłuszny, gdy podrósł, był tak długo posłuszny, póki nie rozpoczął publicznego urzędu Swojego.

Wstąpmyż więc dziś na chwilę do tego ubogiego domku w Nazarecie i skorzystajmy z zostawionego nam przez Jezusa przykładu. Nie wiele wprawdzie z tego długiego Jego ukrytego żywota opowiada Ewangelia święta, ale i to, co wiemy, niech bez korzyści nie minie. Wszyscy się czegoś nauczyć możemy. Dzieci, jak powinny słuchać zawsze rodziców i chętnie spełniać ich rozkazy. Podwładni, jak szanować mają wolę swych przełożonych. Nauczymy się także cenić przykazania Boskie i kościelne, chodzić do kościoła, słuchać z uwagą kazań, uczestniczyć w różnych nabożeństwach, dbać o chwałę Bożą. Gdy się zaś przez to pomnożymy w dobrem i do tego Jezusa podobni staniemy, On się też do nas przyzna i do wiecznych ze Sobą kiedyś zabierze przybytków. Amen.

Ks. Fr. Miklasiński.

Czarny Dominiczek.

(Zdarzenie prawdziwe.)

Słyszeliście, zapewne, Czytelnicy, że są ludzie, którzy porzucają rodzinę, przyjaciół, znajomych, porzucają dom i kraj rodzinny — wszelkie wygody, przyjemności życia — prace i zajęcia swoje najmilsze, a jadą w dalekie kraje.

Przepływają morza niezmierzone, przebywają niebotyczne góry. Idą w kraje najgoretsze, gdzie słońce wiecznie pali im nad głową i pragnienie dokucza dotkliwie... Idą na daleką północ, w odwieczne śniegi i lody, gdzie przez miesiące całe promyk słońca nie zajrzy... Idą w lasy, nietknięte ręką ludzką, aby, za nimi, znaleźć siedziby ludzi dzikich, którzy ich może zabiją... albo udają się na odległe, nieznane nikomu wyspy... Cóż ich tam pędzi, tych dziwnych ludzi? Czy idą, aby się wzbogacić? żeby znaleźć w owych odległych krajach majątek, znaczenie albo sławę, których odmówił im kraj rodzinny? Może szukają tam rozkoszy i wrażeń dla duszy, albo serca? Nie! Ludzie owi, są to kapłani, a zowią ich Missyonarzami.

Oni to porzuciwszy wszystko, co świat ten dać może, jadą w owe nieznane, odległe krainy, aby szukać i odnaleźć braci swoich w Chrystusie, ludzi odkupionych Krwią Zbawiciela, którzy nie znają dotąd prawdziwego Boga. Są to poganie żyjący w Afryce i na wyspach Oceanii, albo daleko na północy Ameryki i Azyi, gdzie żyją dotąd jeszcze dzicy, nieokrzesani, najczęściej okrutni i obyczajami więcej zbliżeni do zwierząt, niż do cywilizowanych ludzi.

Tam starają się nawracać owych pogan na wiarę katolicką, co niemałe przedstawia trudności. Muszą się wpierw nauczyć języka krajowców, zdobyć

sobie ich zaufanie i dopiero, po wielu i wielu ciężkich pracach, udaje im się pozyskać dla Chrystusa kilka, najpierw, potem kilkanaście, a nareszcie kilkaset albo i tysiące dusz. Uczą tych biednych ludzi najgłówniejszych zasad Wiary, następnie chrzczą ich... Zakładają ochronki, szkoły, szpitale, uczą rzemiosł najrozmaitszych, budują kaplice i kościoły. Zdarza się nieraz, że taki nawrócony, albo syn jego, wychowany i wyuczony przez Missyonarzy, sam zostaje księdzem i pomaga przybyłym kapłanom w pracy nad zbawieniem ziomków swoich.

Nierzadko zdarza się także, że dzicy ludzie, zamiast gościnnie przyjąć Missyonarza, rzucają się wściekle na niego, i wśród mąk niezliczonych, jakie tylko najokrutniejszy człowiek wymyślić potrafi, śmierć mu zadają... Za nim jednak przybywają inni Missyonarze, chcący naśladować przykład swoich poprzedników, a jeśli i oni ulegną podobnemu losowi, idą wciąż inni, aż nareszcie Bóg się ulituje i wiara święta krzewić się zaczyna w owych odległych krainach.

Jeden taki Missyonarz, przebywający w Afryce, kraju zwanym Kamerun, opisuje następujące zdarzenie, którego był naocznym, prawie, świadkiem: W pewnej, niewielkiej wioseczce, o kilka mil odległej od missyi naszej w Duala, wznoszą się małe domki, otoczone zielonym, kwitnącym ogródkiem. Pomiędzy nimi wyróżnia się znaczną swą długością dom naczelnika wsi, zarazem wodza ich plemienia. Przed domem tym rozciąga się plac obszerny, a na nim widnieje malutki, odosobniony domeczek. A jest on tak mały, że nikt w nim mieszkać nie może, chyba lalki małych, czarnych dziewczynek wiejskich.

Otóż rzeczywiście, nie mieszkają w nim ludzie, ani nawet lalki, ale osadzono tam straszny, zaledwie słabo i grubo ociosany kloc drzewa, który ludzie tutejsi zowią swym bogiem. Posadzili go na tronie i mniemają, że bałwan ten opiekuje się ich siedzibą i strzeże wioskę od wszelkiego złego. W jasne księżycowe noce, dziwne wyprawiają skoki i tańce na cześć owego bożka, co ma im zastąpić modlitwę, a stara kobieta, coś w rodzaju lekarki, ma obowiązek czuwania, by bożek codziennie otrzymywał jedzenie. Nie zjada go wprawdzie nigdy, ale co to szkodzi. Jeśli komu się to śmiesznem wydaje, odpowiadają mu, że bożek dziś nie głodny, albo jedzenie źle przyrządzone. Strawę tę dają psu i mówią, że bóg łaskawie na to pozwolił.

Idźmy teraz ulicą, wiodącą wzdłuż wioski. Na końcu jej stoi schludny, biały domek, a z wnętrza jego rozlegają się wesołe rozmowy i śmiechy. Mieszka w nim bardzo dobry człowiek, imieniem Muanko, z żoną swą, wesołą Nyongi i małym, pięcioletnim synkiem Pue. Sąsiad jego, Jambo, przybył zaprosić Muanka na polowanie, gdyż widział świeże ślady antylopy (rodzaj dzikiej kozy). Obaj przyjaciele udali się w stronę lasu, zaopatrzywszy się w strzelby skałkówki. Nyonga przez długą chwilę patrzyła na oddalających się, poczem wróciła do swoich zajęć, nucąc wesoło.

Gdy się obaj myśliwi rozeszli w lesie, długi czas daremnie czekali na zwierzynę. Nareszcie Muanko usłyszał za sobą szelest poruszanych gałęzi. Była to, bezwątpienia antylopa... Przyłożył więc strzelbę, pociągnął za cyngiel i rozległ się wystrzał... zaraz po nim straszny krzyk i jęki bolesne. Był to Jambo, idący wpierw do przyjaciela, a teraz tarzający się w strumieniu krwi własnej.

Przerażony Muanko poskoczył na ratunek, niepocieszony na widok mimowolnej zbrodni, którą popełnił.

Przez ten czas, na odgłos strzału, ludzie zaczęli się zbiegać, w nadziei otrzymania cząstki upolowanej zwierzyny. W oka mgnieniu rozeszła się po wsi wiadomość, że Muanko zamordował nieszczęśliwego Jambo.

Teraz, na placu przed domem naczelnika wioski, uderzono w wielki bęben. Na to hasło zebrali się śpiesznie wszyscy mieszkańcy. Kilka kobiet nadbiegło z wiadomością, że Jambo skonał przed chwilą, a brat jego, Prymus, z wielkiego żalu, domaga się ukarania winowajcy i żąda, by Muanko wypił kubek trucizny.

Czarni mają bowiem to przekonanie, że trucizna nie zaszkodzi niewinnemu — przeciwnie, winowajca natychmiast po wypiciu padnie trupem na miejscu.

Wezwano obecnych, aby wypowiedzieli zdanie, czy Muanko winien jest zabójstwa Jambo, czy też uważają go za niewinnego? Wszyscy jednomyślnie wyrzekli: „winien". Przyniesiono kubek z trucizną i zmuszono Muanka do wypicia takowej. Nyanga nadbiegła z synkiem, płacząc głośno. Muanko też płakał. Uścisnęli się poraz ostatni. Nieszczęśliwy Muanko wziął w ręce połowę kokosowego orzecha, zawierającą trujący napój. Wyprostował się i zaczął mówić powoli i dobitnie, że bardzo żałuje iż mimowolnie stał się zabójcą Jamba, którego kochał szczerze — że nie chciał wcale go zabić — że się czuje niewinnym. Odpowiedziano mu zewsząd głośnym śmiechem. Raz jeszcze spojrzał na ukochaną żonę i dziecko i wypróżnił całą zawartość kubka. W ten sposób uznano go za winnego. Po krótkich, strasznych cierpieniach zakończył życie.

Ciało jego wrzucono w dół głęboki, a każdy z przytomnych tej sceny rzucił weń kamień, na znak pogardy.

Niepocieszona Nyanga zalewała się łzami. Poczciwa Wille Sani ulitowała się nad nią i zabrała wraz z dzieckiem do domu swego, gdzie ich nakarmiła i napoiła.

Zajęto się tymczasem pogrzebem zabitego Jambo. Wszystkie sąsiednie wioski przysłały swych przedstawicieli dla uczestniczenia w uroczystościach i wyrażenia współczucia rodzinie zmarłego. W nocy wykonano nadzwyczajne tańce pogrzebowe, poczem nad ranem, pogrzebano Jambo w rodzinnym jego domu.

Zaledwo zasypano grób jego, Prymus, brat Jambo, zerwał się z siedzenia i, wywijając ogromnym, myśliwskim nożem, zawołał dziko: „Zemsty żądam, krwawej zemsty nad całą rodziną nikczemnego Muanko!"

Nazajutrz znaleziono nieszczęśliwą Nyangi, leżącą na łóżku, z okropną, krwawą raną na głowie.

Staruszka, która się zaopiekowała małym Pue, ukryła sierotę w domu swoim. Nocą, gdy wszyscy spali, przywiązała go sobie na plecy i poszła do siostry, mieszkającej o kilkanaście mil stamtąd. Tu obie uradziły, że Prymus może przyjść lada chwila i zamordować dziecie. Postanowiły zatem odnieść

je do Duala, gdzie go odnaleźć nie potrafi. Oddano je pod opiekę pewnej znajomej kobiety. Lecz ta sprzykrzyła sobie wkrótce dozór nad chłopcem, nie mogącym jeszcze zarobić na kawałek chleba, i coraz gorzej się z nim obchodziła. Biedny Pue cierpiał nieraz głód i niedostatek i czuł się bardzo nieszczęśliwym.

Pewnego dnia, gdy siedział przy drodze, zalewając się gorzkiemi łzami, jeden z Ojców Missyonarzy, przechodząc tamtędy, zapytał go o powód łez jego. Gdy się dowiedział, jakie przeszedł koleje, zabrał go ze sobą do zakładu missyjnego.

Dziecię odzyskało wkrótce zdrowie i wesołość, właściwą młodemu wiekowi. Zaczęło chodzić do szkoły, ucząc się pilnie. Po dwóch latach, chłopczyk został ochrzcony i otrzymał imię Dominik.

Obecnie ma już 13 lat i przystępuje do Komunii świętej. Gdy nadejdą wakacye świąteczne i inne dzieci z radością opuszczają szkołę i idą do domu rodzicielskiego, on z żalem spogląda za niemi i niejedno westchnienie wybiega z piersi jego za domem rodzinnym, za matką i ojcem, którzy zginęli tak marnie, padając ofiarą okrucieństwa i przesądów ziomków swoich.

PIOSNKA ŚLĄZAKA.

Śląsku! kraju nasz!
Wiele bogactw masz.
Cóż! gdy dla swych dzieci ty,
Masz tylko niedolę, łzy.
Chociaż w ziemi skarby mnogie,
Jednak syny twe ubogie,
Boś ty wprawdzie złoty kraj,
Aleś obcym raj!

Tutaj obcy ród,
Ma wszystkiego w bród.
A w niedoli własny lud,
Pogardzony, cierpi głód.
Uciśnionym na swej ziemi
Stał się wraz z skarbami swemi.
I bogaty jego kraj,
Jest dla obcych raj.

Czy tak wciąż chcesz żyć?
Czyż tak wciąż ma być?
O nie! Śląski ludu ty!
Podnieść głowę, osusz łzy,
Kształć i łącz się, tęp ciemnotę,
Znaj swą siłę, szerz jednotę.
A twój piękny złoty kraj,
Będzie dla cię raj!

Wiktor Polak.

TO I OWO.

W roku przyszłym mija 80 lat właśnie od chwili, gdy dokonano wynalazku zapałek siarkowych, 55 zaś lat od czasu, gdy wynalazca ich zmarł w nędzy. Był to Niemiec, nazwiskiem Jan Fryderyk Kemmerer, z zawodu chemik. W ojczyźnie swej został on skazany na więzienie, za mowę przeciwrządową. Karę odsiadywał w areszcie w Hohenasperg i tu w listopadzie w r. 1832 dokonał wynalazku zapałek. Skoro jednak znalazł się na wolnej stopie i począł czynić starania około znalezienia przedsiębiorcy, któryby się zajął wyrobem zapałek, zakazano mu „tworzenia niebezpiecznego środka do wywoływania ognia“, pod grozą ciężkich kar. Mimo to nie zraził się Kemmerer i otworzył tajną fabrykę zapałek, sprzedając wyroby za granicą; wkrótce atoli rzecz stała się głośną, władze poleciły fabrykę zburzyć, a wynalazcę aresztowano. Równocześnie we wszystkich krajach niemieckich ogłoszono zakaz „sprzedawania i używania niezwykle niebezpiecznych zapałek, wynalezionych i tworzonych przez chemika Kemmerera“. Nieszczęśliwy wynalazca stracił w więzieniu zmysły, a w roku 1857 zmarł. Francya i Anglia pochwyciły natychmiast ten doniosły wynalazek, a fabrykanci zapałek w ciągu krótkiego czasu dorobili się milionów. Niemcy natomiast przez długie jeszcze lata zadowalniały się pierwotnym sposobem krzesania ognia, lub też sprowadzać musiały ten dziś najniezbędniejszy artykuł z zagranicy.

HISTORYA OGÓRKA.

O ile wnosić można z przechowywanych podań historycznych, ogórki znane już były i uprawiane przed 3000 lat. W starożytnym Egipcie, również jak i w dzisiejszym, zajmowano się gorliwie hodowaniem ogórków. Brak ich, w czasie błądzenia żydów po pustyni, był powodem częstych wymówek, robionych Mojżeszowi i narzekań ze strony żydów.

Wogóle w Piśmie św. kilka razy spotykamy wzmiankę o ogórkach, a także i u niektórych dawnych greckich autorów, którzy utrzymywali, że ogórki, rosnące w okolicach Antyochii, należały do najsmaczniejszych. Rzymski zaś pisarz, Columella, wspomina, iż mieszkańcy Mendesu w Egipcie przez stosowną uprawę ziemi dochodzili do tego, że przez cały rok mieli świeże ogórki. Ten sam autor utrzymuje, że chcąc, aby ogórki miały delikatny i przyjemny smak, należy nasienie ich moczyć w mleku i miodzie przez kilka dni przed ich zasianiem.

W jakim czasie sprowadzono ogórki do nas, napewno określić niepodobna. Za ojczyznę ich uważają Azyę, lecz w stanie dzikim nie spotkał ich jeszcze żaden z podróżników.

W Anglii, gdzie obecnie spożywają olbrzymią ilość ogórków, i jako jarzynę, i jako konserwy, przed dwustu laty uważano je prawie na równi z trucizną. To też ówczesny znakomity lekarz, Abernetchy, takiej udzielał recepty: Weź spory ogórek, obierz go, pokraj w kawałki, dodaj soli, pieprzu i octu i wyrzuć to wszystko przez okno.

Jako środek lekarski używany jest sok z ogórków i z ich łupin na posiekanie skóry u rąk, pomada zaś ogórkowa ma podobno pomagać przeciwko piegom i opaleniu przez słońce i wpływać na wydelikatnienie skóry.

W Grecyi, naprzykład, na ból głowy leczą się łupinami od ogórków, które przykładają na czoło i głowę i przywiązują mocno chustką. Dojrzałe zaś żółte ogórki, po wyrzuceniu z nich ziarnek, suszą na słońcu, następnie mocza w gorącej wodzie i używają jako środka przeciwko odmrożeniu.